

Załącznik 1:

1. Waldemar Łysiak: <<Zawsze twierdził, że nie jest Polakiem i że nie czuje się Polakiem ani trochę — jest stuprocentowym Litwinem (dziwne tedy, że nie osiadł w ukochanym, wolnym już Wilnie, i że nie podpisywał się per Miłoszewicius lub Miłoszewickas, lecz tylko pozornie dziwne — na Litwie nie było michnikowskiego różowego „Salonu” robiącego mu klakę i „szmal”, zaś Kraków wybrał, jak tłumaczył, bo ten przypomina Wilno). Głosił to całemu światu — w radiu francuskim przedstawił się: „ — *Jestem Litwinem, który pisze po polsku*”. Co jest znowu dziwne (że po polsku), bo na kartach swych „Prywatnych obowiązków” stwierdził: „Zamiast ogłaszać książki po polsku, z równym powodzeniem można by było umieszczać rękopisy w dziuplach drzew”>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, Warszawa 2004, s.113]

Czesław Miłosz: <<Patrząc na mapę Europy, muszę zdobyć się na kilka elementarnych stwierdzeń. Nie urodziłem się w Polsce, nie wychowałem się w Polsce, ale piszę po polsku. Nie jest to może tak niezwykle, skoro się zważy, że największy polski twórca nigdy nie był w Warszawie ani w Krakowie i że Litwę obrał za swoją Muzę. Jednakże czasy się zmieniły, jest tu zagmatwanie, które prosi o jakąś nową diagnozę. Być może literatury mają swoje stałe przeznaczenia i, tak jak przeznaczeniem rosyjskiej jest zsyłka (do Besarabii, na Kaukaz, na prowincję, do łagrów), przeznaczeniem polskiej jest emigracja. Być może prawdą jest, że „przemycia w Litwę Żyd tomiki moich dzieł”. Ale wieszczowanie na użytek PRL, która nawet nie jest krajem rodzinnym, byłoby martwe, jak wszelkie historyczne powtórki, poza tym Żydów mało, dużo za to „strażników ceł” z listami książek zabronionych. Tyle że gorycze emigracji są mniej więcej te same co dawniej, z lekką zmianą na gorsze. **Zamiast ogłaszać książki po polsku, z równym powodzeniem można by było umieszczać rękopisy w dziuplach drzew**>>.[„Prywatne obowiązki”, Kraków 2001, s.104]

2. W.Ł.: <<Swoją niechęć do języka polskiego wyrażał bez ustanku, tak przy użyciu poezji (poetycko zwał ów język „*mową nierozumnych i nienawidzących*” tudzież „*mową pomieszanych, chorych na własną nienawiść*”), jak i przy użyciu prozy, zarzucając językowi Polaków „niechlujność fonetyczną” („*Piesek przydrożny*”) oraz „*ciamkanie, syczenie, bełkotanie, arytmie, bezkształtność i bijące wszelkie rekordy ubóstwo literackich form*” („Prywatne obowiązki”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.113-114]

C.M.: <<Jeżeli mieszka się od lat za granicą i słyszy się naokoło siebie obcą mowę, jest się zmuszonym rozmyślać nad właściwościami polszczyzny. Siłą polskiego jest bogactwo słownika, giętkość, kapryśność, jakaś przyrodzona barokowość, ale nie jest to język majestatyczny. Niemniej może brzmieć dostojnie – u Kochanowskiego, w Biblii Wujka, zwłaszcza w Nowym Testamencie z 1593 roku. Zmora syczących i szeleszczących spółgłosek może więc być częściowo zażegnana. Osip Mandelsztam w jednym ze swoich artykułów zastanawiał się nad walką, jak toczy się w rosyjskim pomiędzy hieratycznym, samogłoskowym elementem staro-cerkiewno-słowiańskim i spółgłoskową mową codzienną; pochwałał Pasternaka za to, że ten wykorzystywał mowę codzienną, że był syczący,

kląskający, słowiczy. Choć sam Mandelsztam (którego poezję bardzo wielbię) był hieratyczny, samogłoskowy. Otóż polski wręcz odwrotnie, nie tylko nie musi się z hieratyczności wyzwać czy równoważyć ją kląskającym ludowym idiomem, ale jest stale zagrożony przez **ciamkanie, syczenie, bełkotanie, przez arytmie i bezkształtność**. Mówiąc o awangardowej łacinie, popełniam ten błąd, że jest ona dokładnym przeciwieństwem samogłoskowego języka Rzymian. Oswabdzając polszczyznę z logicznej dyscypliny i z jakich takich rygorów, oddaje ją na pastwę ciamkań i kumkań, jakiejś prapolskiej magmy, jak u Białoszewskiego.

Już to na brak rafinady polski nie może się uskarżać. I zawsze to samo: mnóstwo literackich ciastek, ale brak chleba. **Ten język w ubóstwie form literackich codziennego spożycia pobiłby chyba wszystkie rekordy** – bo to coś znaczy, jeżeli jakiś język nie ma prawie wcale literatury dla dzieci. Poza wierszami Tuwima i Brzechwy i w prozie *Panem Kleksem* – nic[przypis: uroczy Janusz Korczak np. to, moim zdaniem, literatura dla młodzieży, nie dla małych dzieci]. Gorzej niż nic, bo obfita chałtura dla naszych milusińskich. Przymuszone odrazą, polskie dziecię musi zapewne zaczynać od lektury Schopenhauera. Jest jakaś tajemnica, której nie można rozwikłać. Może polski nie nadaje się, może cały jest tak osaczony przez dziecinność, że kiedy zwracają się w nim do dzieci, jest już tylko zdziecinniały? Nie wiem.

Polska jest krajem poetów, na pewno. Tylko że zawsze myślałem z niepokojem o bardzo dolnych dołach i bardzo górnych szczytach, o skutkach podziału na grono zamknięte jak indiańskie plemię w rezerwacie i na miejski lud. Dlatego interesują mnie tacy poeci, jak Gałczyński i Bryll. Przekazują oni szersze, nie tylko ważne dla smakoszków, znaczenia>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.129-131]

3. W.Ł.: << J. Majda: „Okazuje się, że Miłosz nie jest jednym z nas, lecz człowiekiem zewnętrznym i zupełnie nam narodowo obcym, wręcz obcokrajowcem, gdyż pasją jego twórczości literackiej stało się obrzucanie Polaków i języka polskiego złośliwymi oszczerstwami”. Nie tylko Polaków i języka — również Polski jako państwa i polskości jako takiej. Polska to był dla niego „irytujący obszar między Niemcami a Rosją” („Prywatne obowiązki”), którego właściwie nie powinno być — „Dla Polski nie ma miejsca na Ziemi” („Rok myśliwego”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...) s.114]

C.M.: <<Książek po angielsku o Rosji jest mnóstwo, a wszyscy wybitniejsi pisarze rosyjscy są czytani w dobrych albo niezłych przekładach. Mimo to trudności właściwe pisarstwu historycznemu sprawiły, że zwięzły podręcznik historii literatury rosyjskiej jest tylko jeden. Napisał go krytyk literacki, znawca poezji rosyjskiej, D. Światopołk-Mirski, który wykładał na Uniwersytecie Londyńskim w latach dwudziestych. Następnie nawrócił się na eurazjanizm, potem na komunizm, wrócił do Moskwy i w kilka lat później umarł w łagrze na Kołymie. Książka jego jest w Ameryce stale wznawiana jako *paperback*.

Jednak Rosja ma w wyobraźni czytelników zachodnich pewien kształt, może dziwaczny, ale kształt. **Obszar pomiędzy Rosją i Niemcami jest tylko irytujący przez swoją nieokreśloność i zbyt już wielką zawilgość plemiennych obrzędów.** Ta zirytowana niewiedza nie jest zresztą niczym nowym. Pomysł rozbiórów Polski wylał się niegdyś w głowach *les philosophes*, których pojętnymi uczniami okazali się monarchowie. To zbyt szczególne, chaotyczne, wyłamujące się z norm i reguł, było bowiem wstrętne dla geometrycznego umysłu mistrzów Oświecenia. Podobnie można się domyślać, że oddając pod zarząd Rosji połowę Europy w Jałcie, zachodni mężowie stanu kierowali się nie tylko

chęcią obłąskawienia niedźwiedzia, także chęcią pozbycia się terytoriów zamieszkałych przez ludy, z których pretensji, żalów i wzajemnych nienawiści nikt nic nie rozumie>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.151-152]

<<**Dla Polski nie ma miejsca na ziemi.** Odległych powodów trzeba szukać w działalności romantycznych przyjaciół ludu:

Przebrani w kozuch, idąc od wioski do wioski,

Chuchali na folklor i pierwiosniki.

Aż namnożyli dziwnych nacjonalnych znaków.

To był haczyk – i sami wiszą na tym haku.

(Toast)

W istocie Niemcy i Polska były około roku 1820 rozsądnymi politycznymi romantyzmami, czyli, nazywając rzecz bardziej przyziemnie, nacjonalizmami. Żeby folklor i „duszę narodu” podnieść do drugiej potęgi i otrzymać pojęcie narodu, trzeba wykształcenia (studenci, Filomaci) i poniżenia (którego w pobitych przez Napoleona Niemczech i rozbiorowej Polsce nie brakowało)>>.[„Rok myśliwego”, Kraków 1991, s. 162-163]

4. W.Ł.: <<Mawiał: „Polska to Ciemnogród” („Prywatne obowiązki”), z lubością dokładając grubszą obelgę, zaczerpniętą u pewnego hitlerowca: „«Anus mundi» — odbytnica świata. To określenie Polski odnotował pewien Niemiec w 1942 roku” („Abecadło Miłosa”)>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.114]

C.M.: <<Osobliwość utworu [chodzi o *Króla Ubu* Alfreda Jarry] polega na tym, że jest zarazem zapowiedzią i dokonaniem. Zapowiada śmierć ojczyzny przez skwaśnienie i skarlenie, a równocześnie sam jest objawem najzupełniejszego mizeractwa. Dość ponury monument na dwudziestoczetlecie – czy na tysiąclecie. Jak do tego doszło? Naturalnie łatwo jest podać przyczyny polityczne. Ale nie jest dla mnie pewne, że cenzura i policyjne rządy ponoszą tutaj wyłączną odpowiedzialność. Jeżeli chciałbym „wytoczyć proces”, to raczej ludziom pióra. Wolno stawiać im pewne żądania i wtedy może się okazać, że trochę zbyt skwapliwie tłumaczą się okolicznościami. W Polsce po roku 1956 było dużo swobody, trudno jednak uznać sposób, w jaki ją wykorzystywano, za najlepszy. Słonimski całkiem słusznie ostrzegał przed modnym awangardowym „bełkotem”, który piszących, kapłanów sztuki (patrz rok 1900), coraz bardziej wyobcowywał. Stąd przeskok, by tak rzec, dialektyczny: no tak, **Polska to Ciemnogród**, ale my sami z Ciemnogrodu, więc piszmy, że nie sądzono jest nam wyjść poza Ciemnogród. Przytoczony wiersz Brylla [*Mtacminda*] to właśnie, nic innego, głosi>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.110-111]

<<**Anus mundi – odbytnica świata. To określenie Polski odnotował pewien Niemiec w 1942 roku.** Przeżyłem w niej lata wojny i następnie próbowałem całymi latami zrozumieć, co znaczy nosić w sobie takie doświadczenie. Jak wiadomo, filozof Adorno powiedział, że po Oświęcimiu pisanie liryki byłoby ohydą, a filozof Emmanuel Levinas podawał rok 1941 jako datę, kiedy „Bóg odszedł”. Natomiast ja napisałem pogodne wiersze – *Świat* i parę innych, w

samym środku tego, co się w *anus mundi* działo, i bynajmniej nie z niewiedzy. Zasluguję na potępienie czy nie? Można by równie dobrze sporządzić akt oskarżenia jak obrony. Okropność jest prawdą świata istot żywych, natomiast cywilizacja zajmuje się maskowaniem tej prawdy. Literatura i sztuka łagodzi i upiększa, a gdyby pokazywała rzeczywistość nagą, taką, jaką każdy człowiek podejrzewa, choć broni się przed tym, nikt by tego nie zniósł. (...) Życie nie lubi śmierci. Ciało, dopóki może, przeciwstawia jej bicie serca i ciepło krążącej krwi. Pogodne wiersze pisane w środku horroru opowiadają się za życiem, są buntem ciała przeciwko zniszczeniu. Są to *carmina*, czyli zaklęcia rzucane po to, żeby na chwilę okropność znikła i ukazał się ład – cywilizacji czy, co zresztą na jedno wychodzi, dziecinnego pokoju. Poczucie, dając do zrozumienia, że to, co odbywa się w *anus mundi*, jest przejściowe, i że trwały jest ład – co wcale nie jest pewne>>.[„Abecadło Miłosza”, Kraków 1997, s. 40-41]

5. W.Ł.: <<Zapytywał też siebie (w wierszu „Natura”): „Na jak długo starczy mi nonsensu Polski?”, i wreszcie znalazł rozwiązanie: „Gdyby mi dano sposób, wysadziłbym ten kraj w powietrze” („Rodzinna Europa”)>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.114]

**C.M.: <<Na jakże długo starczy mi nonsensu Polski, gdzie pisze się poezję wzruszeń
Z ograniczoną odpowiedzialnością?
Chcę nie poezji, ale dykcji nowej.
Bo tylko ona pozwoli wyrazić
Tę nową czułość, a w niej ocalenie
Od prawa, które nie jest naszym prawem,
Od konieczności, która nie jest nasza,
Choćbyśmy nasze jej nadali imię>>.(1956)**

<<Poczucie osadzenia, oparcia zyskuje się, kiedy wyobraźnia może zaczepić się o obszar wypełniony dużą liczbą skupisk ludzkich poddanych jakiemuś łaadowi, tak żebyśmy myśleli, że w każdym z nich moglibyśmy mieszkać. Ale tutaj na wpół rozwalone płoty, kury rozlatujące się w popłochu przed chłopskim wózkiem, kamienice, z których zabrano na stracenie Żydów, ziały nicością i nienawistnym dla mnie rozpadem, mnożyłem rozpad przez rozpad i otrzymywałem w wyniku pustynię, bez miejsca, gdzie złożyć głowę. Gorąco mojej krwi buntowało się przeciwko tej bezwładnej sile niedołęstwa i opuszczenia. Należy jednak zrozumieć, że jeżeli to, co nas otacza zanadto godzi w nasze pasje budowniczych i nowych Faustów, pojawia się reakcja odwrotna, tj. tylko chęć odwrócenia się plecami. Rewolucja, niech będzie rewolucja, ale nic tutaj nie zmieni, bo według wschodniego jej modelu takie stratowane pole dostarczało zwykle tylko soków kilku jej gigantycznym przedsięwzięciom i tutejszy bezwład był jedynie wstępem, zapowiedzią pękających murów i dziurawych dachów, czyli szczegółów niegodnych uwagi. Przyszłe lata, dziesiątki lat, przybierały dla mnie, kiedy szedłem ulicą, czujny i napięty, wygląd zupełnej daremności i cokolwiek przeżyłem dotychczas, spiętrzyło się po krótkim okresie ulgi czy samoobrony, zgęstniało, tak że gotów byłem twierdzić, przyznając się szczerze, że nad tym właśnie kawałkiem Europy ciąży przekleństwo, że nie ma żadnej rady. I być może, **gdyby mi dano sposób, wysadziłbym ten kraj w powietrze**, żeby matki nie opłakiwały już zabitych na barykadach siedemnastoletnich synów i córek, żeby trawa nie rosła na popiołach Treblinka, Majdanka i Oświęcimia, żeby na koszmarnych, zdeptanych wydmach przedmieścia nie rozlegał się dźwięk ustnej harmonijki

pod karłowatą sosną. Bo jest gatunek litości, którego nie można udźwignąć, i wtedy wysadza się jej przedmiot w powietrze przynajmniej subiektywnie, tj. owłada nami jedynie pragnienie: żeby nie patrzeć>>.[„Rodzina Europa”, Kraków 2001, s. 288-289]

6. W.Ł.: <<„Anus” Miłosza musiał być obszerny, jeżeli ów Litwin trzymał tam nie tylko cały „ten kraj”, lecz i jego mieszkańców: „Nieszczęsnych Polaków, umiejących myśleć tylko politycznie, mam w dupie” („Zaraz po wojnie”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.114]

C.M.: <<Punkt następny. Nie, niech mnie Bóg broni, żebym miał stać się tak zwanym heroldem opozycji i żeby odbywało się wielkie przysiadanie na zadach z radości, że pojawił się nowy Mickiewicz i że on jest z nami, nie z nimi. Na to stanowczo jestem za cwany, a nieszczęsnych Polaków umiejących myśleć tylko politycznie mam w dupie. Twoje rady Tygrysie są więc niezwykle cenne i zastanawiam się, jak do nich się zastosować. Wiem zresztą, że poemat tak jak jest, okropnie by się podobał kotkowym intelektualistom, bo ulubioną ich literaturą jest Koestler, ale po cichu. Zobaczmy, co da się zrobić>>.[„Zaraz po wojnie”, Kraków 1998, s.280-281]

7. W.Ł.: <<Miał tam również orła polskiego, więc kiedy amerykański wydawca umieścił orła na projekcie okładki miłoszowego (wielce paszkwilanckiego) podręcznika do historii literatury polskiej, Miłosz się wściekł; później wspominał („Prywatne obowiązki”): „Na okładce był orzeł bez korony. Mój list — ze są dwa orły, jeden z koroną, drugi bez, i że żadnego sobie nie życzę — wprawił wydawcę w najwyższe zdumienie (...) Przyznaję, że na «polskość» jestem alergiczny” (ta alergia nie przeszkodziła mu wziąć „chlebowca” — Orderu Orła Białego)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.114]

C.M.: <<Myliłby się ktoś jednak, przypuszczając, że forma trzyma za rękę tylko poetę albo nowelistę, natomiast autor „luźnej prozy” ma zupełną swobodę i nic się nie zmieni, jeżeli doklei tu pięć, tam dziesięć stron. Jeżeli mój tom jest „fantastycznie czytelny” (Czaykowski), to właśnie dlatego, że odbywa się w nim taniec akrobaty na linie. Wielu nazwisk nie ma, bo najprościej w świecie nie udało mi się ich z niczym zrymować. Oto tajemnica „techniki przemilczeń”.

Że lekceważę artyzm i nie przeprowadzam analizy cytowanych wierszy (Czaykowski). Jestem pełen świętego podziwu dla wydawcy, że zgodził się dać w dwóch wersjach, angielskiej i polskiej, wiersze, które razem złożyłyby się na sporą antologię. Można sobie wyobrazić, jaką męką dla drukarzy jest składanie w języku, którego nie znają. Objaśniać artystyczne sekrety po linijce? Historia literatury to nie *explication des textes*. Był wprawdzie człowiek, który wynalazł armatę-grzebień (i strzela, i można się tym czesać), ale tylko w anegdocie. Jednak zarzut, że nie mówię np. o artyzmie Norwida, jest niesłuszny. I skonstrastowanie jego poetyki z poetyką jego współczesnych, i przekazanie jego poglądów na polską wersyfikację służy przecież temu celowi.

„Gdyby nie te mapy na wklejce, gdyby nie ten orzeł bez korony!”(Danilewiczowa). Wydawca przesłał mi papierową okładkę (*dust-jacket*) – grzeczność, bo autor, według kontraktu, nie ma

wpływu na oprawę graficzną książki. **Na okładce był orzeł bez korony. Mój list, że są dwa orły, jeden z koroną, drugi bez, i że żadnego sobie nie życzę, wprawił wydawcę w najwyższe zdumienie.** O niczym podobnym nie słyszał. Mimo to kilkaset dolarów wysupłał i zamiast orła wstawił renesansowy rysunek. Wklejki natomiast zobaczyłem dopiero, dostawszy wydrukowany egzemplarz. I jakąż to mapę miał umieścić, skoro, jak domyślam się, chciał podkreślić współczesność, a taka, nie inna, Polska figuruje w encyklopediach i atlasach? I czy ezoteryczna wiedza o dwóch orłach nie wkracza w zakres spraw mętnie komicznych?

Zresztą niejedną raz wydawcy płatają takie psikusy. Właśnie dostałem od Penguina wydanie w *paperback* mojej antologii *Post-War Poetry*. Z białym orłem na czerwonej tarczy (jakby antologia była okrętem czy urzędem wojewódzkim). Orzeł jest bez korony, ale za to, zamiast na zachód, patrzy na wschód. Czyli jednego wydawcom nie można odmówić: błogiej obojętności>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.156-158]

<<**Przyznaję, na „polskość” jestem alergiczny.** Zarazem rozumiem, że każda cywilizacja ma swój własny *kitsch* i *schmalz* [niem. tu: kicz i cikliwość], za dużo wiem np. o Rosjanach i Niemcach, żeby im zazdrościć. Nie jest wykluczone, że tak ujawniający się konflikt stanowi tylko przerzut jakiegoś zasadniczego konfliktu z istnieniem, że jestem zwolennikiem pozaświata. Stosunki moje z obcymi są zbyt płytkie, zbyt powierzchowne, żeby został ugodzony żywy nerw i żeby odezwał się ten niepokój, do jakiego daje powód nasza przynależność do ludzkiego gatunku. Natomiast u Polaków wystarczy mi drobny znak, a już odtwarzam wszystko, co w nich siedzi, bo to nie jest tylko w nich, poza mną, ale także we mnie, jako część mojego *le moi haïssable*. Ich zachowanie się mnie drażni, ponieważ demaskuje skłonności, jakie w sobie samym staram się rozumem i wolą ujarzmić>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.107]

8. W.Ł. <<Przyznał również, iż trwa to u niego od dziecka — od wczesnej młodości czuł „obsesyjną nienawiść” do Polaków („Zaczynając od moich ulic”). Nie przeszło mu to nigdy — nigdy nie polubił „świń”: „Polak musi być świnia, ponieważ się Polakiem urodził” („Prywatne obowiązki”)>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s.114-115]

C.M.: <<Poezja Brylla zaczynała się od ironii ludzi schwytych, którzy muszą lawirować i kluczyć, żeby jakoś przeżyć i coś cennego ocalić. Następnie przekroczył próg i zwrócił się przeciwko swoim towarzyszom w nieszczęściu, atakując ich za to, że łudzą się, nie chcą uznać tego, co jest, ciągle marząc o tym, co być powinno, toteż słusznie są bici. Poezja jego przekształciła się w katalog sarmackich obrzydliwości, bynajmniej nie podawanych za piękne, właśnie za ohydne, ale nieuniknionych, swoich, narzuconych przez konieczność czy Opatrzność. Teza, jaką można z niej odczytać jest następująca: inteligenci wyobrażają sobie, że w Polsce może być miejsce na szlachetne zachcianki, jak w XIX wieku, to głupcy, bo jakakolwiek wybredność podniebienia jest w Polsce ponad stan, i **Polak musi być świnia, ponieważ się Polakiem urodził.** Zaiste, przyzwyczajono nas w tym stuleciu do wszystkiego, gotowi więc nawet jesteśmy pokwitować wzruszeniem ramion prosty fakt, że stylistycznie Bryll wywodzi się z Norwida, stanowiąc zarazem najjaskrawsze zaprzeczenie ideałów, jakim całe życie służył Norwid. Oto późny jego wnuk, który nie minął pisma, ale spożytkowuje pismo swego pradziada, żeby zatwierdzać „śmierć mej ojczyzny”>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.125-126]

9. W.Ł.: <<Patriotyzm jako taki budził w Miłoszu permanentny gniew, gdyż był przezeń kojarzony (wręcz utożsamiany) z „nacjonalizmem” typu faszystowskiego. A czasami również z pederastią: „*Kurczowy patriotyzm bywa nieraz odpowiedzią na wewnętrzną zdradę. Czy Polacy nie są podobni do niektórych homoseksualistów?*” („Rodzina Europa”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 115]

C.M.: <<Nasze emocje w Paryżu nie mogą być przedstawione tylko jako uniesienia młodości. Ambicja zdobycia istoty trudno dostępnej nieraz przekształca się w miłość, podobnie wschodnioeuropejski snobizm zaprawia doznania podróżników w legendarnym mieście. Mają oni świadomość osobistego osiągnięcia: ja, Stasio czy Jasio, jednak jestem tutaj! – mówią sobie i tupią nogą o chodnik, żeby upewnić się, że im się to nie śni. Poza tym gnębi ich tęsknota za inną ojczyzną niż ta, jaką im wyznaczyło ich urodzenie. Polska nam ciążyła. Mieszkać w niej to było chodzić jak po tafli lodu – a pod nią wykrzywiały się miliony zdeformowanych, koszmarnych twarzy. Brak jednolitego wzorca uniemożliwiał odbiór człowieka „jako takiego” – na pierwszy plan wysuwał się jego status: inteligent, chłop, Żyd. I nie polityka okresu naszego dzieciństwa ponosiła za to odpowiedzialność, ale stulecia. Czy taka chęć ucieczki od nierozwiązalnego niemal problemu jest dobra czy zła, tutaj nie przesądzam, stwierdzam tylko, że istnieje i że **kurczowy patriotyzm bywa nieraz odpowiedzią na wewnętrzną zdradę. (Czy Polacy nie są podobni do niektórych homoseksualistów, z lęku przed swoim zboczeniem narzucających sobie wierność małżeńską?)**>>. [„Rodzina Europa”, (...), s. 187-188]

10. W.Ł.: <<Pracą dla instytucji antykomunistycznych brzydził się zawsze: „*Pośród emigrantów byłem bodaj jedynym, który odmówił pisania dla Wolnej Europy, bo nie podobało mi się jej bicie w patriotyczny bęben i kropienie święconą wodą*” („Abecadło Miłosza”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 115]

C.M.: <<Jednak wyjechałem z Ameryki, czyli raz jeszcze skończyło się moje urzędowanie i pensja co pierwszego. Lata 1950-1960, w pewnym sensie trudniejsze niż niemiecka okupacja, bo tam przynajmniej wśród swoich, musiały potwierdzić teorię „ostatniej złotówki”, tutaj franka. I ponieważ przeżyłem, mając w dodatku na utrzymaniu rodzinę – potwierdziły. Jak to się udało i gdzie, w trudnej Francji, bez żadnej posady? Myśląc o tym, czuję strach, ale po fakcie. Była oczywiście „Kultura”, ale, sama uboga, mogła zdobyć się tylko na skromne honoraria. W dodatku **pośród emigrantów byłem bodaj jedynym, który odmówił pisania do Wolnej Europy, bo nie podobało mi się jej bicie w patriotyczny bęben i kropienie święconą wodą**>>. [„Abecadło Miłosza”, (...), s. 201]

11. W.Ł.: <<Nie podobał mu się również opór antyhitlerowski : „*Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować*” („Rok myśliwego”). „*Moja niechęć do przywódców AK była silna (...), cały konspiracyjny aparat żył nierealnością, ponieważ w siebie pompował narodową ekstazę*” („Rodzina Europa”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 115-116]

C.M.: <<W Warszawie dla większości młodzieży przynależność do AK oznaczała posłuszeństwo rozkazom bezpośredniego dowódcy i wykłady teoretyczne albo, jeżeli to możliwe, ćwiczenia praktyczne w sztuce wojskowej. Jakkolwiek organizacja aktorów była tak czy inaczej powiązana z wojskiem, nie wstąpiłem do AK, zresztą moi rówieśnicy literaci też się do działań z bronią w ręku na ogół nie kwapili. Dosięgłszy trzydziestki nabywa się już pewną ilość przyzwyczajęń, choćby niekoniecznie dobrych. Nieodmienny argument jednostki: „nie mam wcale ochoty umierać”, da się przetłumaczyć przez: „mam przed sobą ważniejsze zadania”, czyli jednostka, jeżeli tak mówi, wykazuje brak pokory niezbędnej we współpracy z innymi. Przekonałem się w pierwszej fazie wojny, że determinacja przełamująca naszą małość rodzi się tylko wskutek potężnego uczuciowego porywu spletanego zresztą nierozłącznie z wiarą w cel poświęceń. Te rozważania mogą się wydać komuś cyniczne i okrutne. Jednak nie zapytywałem nawet siebie, czy moim obowiązkiem jest zanurzyć się głębiej w konspirację. Nie tylko brakło mi teraz porywu, ale hamowała mnie namiętność, bo **moja niechęć do przywódców AK była silna**. Polityczna mgła przedwojennej Warszawy z hasłem: „nie oddamy nawet guzika”, z przekonaniem, że jeżeli Niemcy uderzą, armia polska w ciągu kilku dni zajmie Berlin, uległa pomimo klęski, albo raczej wskutek klęski tylko zgęszczeniu i **cały konspiracyjny aparat żył nierealnością, pompował w siebie ponurą narodową ekstazę**. Jutro musiało być świetlane, ale ktokolwiek odważał się napomknąć, że zależy ono od wyboru form ustrojowych i międzynarodowej rozgrywki, narażał się na niebezpieczeństwa nie zawsze platoniczne. Pod powierzchnią powszechnej nienawiści do okupanta odbywała się też walka o jutrzejszą władzę, czyli dyskutowanie z góry zasług przez podział administracyjnych stanowisk, przy czym, pomimo istnienia Rady Stronnictw, w skład której wchodziłi też socjaliści i ludowcy, wyłaniały się już, głównie dzięki wyższym wojskowym, tendencje powrotu do przedwojennego prawnicowego wzoru>>.[„Rodzinna Europa”, (...), s. 273-274]

12. W.Ł.: <<Wpompowali, skurczybyki, również w Litwina uważającego patriotyzm za tyfus, zmuszając go do majstrowania antologii poezji patriotycznej pt. „Pieśń niepodległa” (1942), co uczynił klnąc, ze strachu, by nie podpaść akowskim skrytobójcom, czyli „jakoś ustawić się w tamtej Polsce” (sic!). Później nigdy nie dał wznowić tej antologii: „Cisną mnie, żebym pozwolił na jej druk w Polsce. Mówię: nie chcę, bo to było dawno i nie mam z tym nic wspólnego (...), nie życzę sobie podpisywać się pod «Pieśnią niepodległą»” („Rok myśliwego”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 116]

C.M.: <<8 IV 1988 W samolocie Oakland – Seattle. Tak, oczywiście, jesteśmy bezbronni wobec czasu, który nastanie po naszej śmierci, wobec wszelkich przemian smaku, obyczajów, skali wartości, mód. Będą z nas brali co im wygodne, odrzucali co im niepotrzebne i któż może przewidzieć, na ile ten obraz będzie podobny do naszego obrazu samych siebie? Czasem myślę, że tkanina mowy – języka, muzyki, malarstwa, - składa się przeważnie ze śladów, z których nie można nawet odgadnąć, kim był dany człowiek, to jest, że zostaje na przykład jeden wiersz, jedno płótno z martwą naturą.

Cisną mnie, żebym pozwolił na druk w Polsce mojej antologii *Pieśń niepodległa* z 1942 roku. Mówię: nie chcę, to było dawno i nie mam z tym nic wspólnego. Ale tom *Trzy zimy* z 1936 roku ukazał się z komentarzami i sprawił mi dużą przyjemność. Czyli że pod *Trzema zimami* podpisuję się, nie życzę sobie podpisywać się pod *Pieśnią niepodległą*>>.[„Rok myśliwego”, Kraków 1991, s.248-249]

13. W.Ł.: <<„Nienormalna” alias „nonsensowna” była dla Miłosza wszelka ojczyzniana walka, bitwy pod Grunwaldem nie wyłączając (nazwał Grunwald „plugawym nonsensem”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 116]

C.M.: <<28 IX 1987 Według londyńskiego „Pulsu” w Polsce 577 rocznica bitwy pod Grunwaldem. Na Polach Grunwaldzkich odbyła się „wielka patriotyczna manifestacja”.

„Idee grunwaldzkie są dzisiaj nierozzerwalnie związane z ideologią Polski Ludowej, jej racją stanu, akcentującą suwerenność państwową, silną gospodarkę, zdolność obronną, mądrość polityczną, trwałe sojusze”.

Część artystyczna: „Rozbrzmiewają fanfary... relacjonuje specjalny wysłannik >>Trybuna Ludu<< - po odegraniu hymnu narodowego i po wystąpieniu sekretarza Komitetu Centralnego tow. Bednarskiego zaczyna się widowisko poetycko–muzyczne według scenariusza Bohdana Głuszcza, dyrektora olsztyńskiej Pantomimy Głuchych. Przy dźwiękach *Bogurodzicy*, *Gaude Mater Polonia*, *Roty*, muzyki Fryderyka Chopina, Feliksa Nowowiejskiego i Sergiusza Prokofiewa na tle błękitnego nieba, nad koroną amfiteatru pojawiają się choreograficzne układy [?] symbolizujące jedność Polski i jej dzieje... Płyną słowa napisane ongiś przez Jana Długosza, Jana z Wiślicy, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego... Członek Biura Politycznego, przewodniczący ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego tow. Barcikowski przyjmuje od młodzieży zobowiązania podjęcia działań służących krzewieniu idei grunwaldzkiej... Z głośników słychać tętent kopyt”...

Tego rodzaju **plugawy nonsens** w przeszłości mnie gniewał i doprowadzał do rozpacz. Teraz jestem daleko, bo jeszcze rok czy dwa, a mnie nie będzie, stąd ulga. Należę do krainy, w której mieszkają Janka, i Andrzejewski, i Jane, i Czechowicz, i Kot Jeleński, i Sadtik, i Zygmunt Hertz, i gdzie wszystko jest równoczesne. Czy stracili tak wiele, umierając wcześniej i nie widząc dalszych przemian, jak na przykład tej „uroczystości grunwaldzkiej”? I czy stracę tak wiele, nie doczekawszy roku 2000?>>.[„Rok myśliwego”, (...), s.62-63]

14. W.Ł.: <<Całość tej przyrodzonej głupoty Polaków określił jako „powiązany system narodowej paranoi” („Życie na wyspach”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 116]

C.M.: <<Moje zainteresowanie Reformacją w Polsce tłumaczy się wyłącznie tym, że działały wtedy umysły rozbudzone, podczas gdy zwycięstwo kontrreformacji oznaczało triumf sarmackiego bezruchu. Nie znaczy to wcale, że w sporze przeróżnych wyznań i sekt z Rzymem moje sympatie były po ich stronie. Wręcz przeciwnie. Ale znana mi jest prawicowo-katolicka wersja historii Polski i ktoś, kto ją przyjmuje, słusznie dopatry się we mnie przeciwnika. Według tej wersji, Polska przez wieki była bastionem katolicyzmu i diaboliczne siły spiskowały przeciwko niej, próbując ten bastion obalić. Najpierw był to protestantyzm, mający w kraju swoją piątą kolumnę, czynny w polityce międzynarodowej, który wreszcie doprowadził do najazdu szwedzkiego. Następnie zachodnioeuropejskie Oświecenie i jego filozofowie, oraz łoże masonskie. Wreszcie Żydzi, jako ostoja ruchów lewicowych. W ten sposób powstaje logicznie **powiązany system narodowej paranoi**, z mnóstwem pozornych, ale jedynie pozornych, uzasadnień. Pewnie, że protestanci witali Szwedów, ale witali też katolicy, tylko to jakoś później zatarli. Pewnie, że mój kiejdański Janusz Radziwiłł był kalwinem, ale jego plan oderwania Wielkiego Księstwa od Polski i unii ze Szwecją służył jego marzeniom polityka i potentata. Pewnie, że francuscy filozofowie Oświecenia wrogo odnosili się do Polski, cóż, przekupni, brali pieniądze od Katarzyny. A polskie łoże wolnomularskie należy uznać za szkołę patriotyzmu. Istnieje też wręcz przeciwna wersja

historii Polski, dopatrująca się przyczyny jej cywilizacyjnego zacofania w wierności katolicyzmowi. Nie myślę, że jest ona bliższa prawdzie niż tamta>>.[„Życie na wyspach”, Kraków 1997, s. 49-50]

15. W.Ł.: <<Sam Miłosz — podobnie jak Kuroń i cały KOR — unikał słowa „kosmopolityzm”; zwał tę predestynację elegancko: „pewną międzynarodowością umysłu”: „Moją ambicją od dawna była pewna międzynarodowość umysłu” („Zaraz po wojnie”)>>. [„Rzeczpospolita kłamaców. Salon”, (...), s. 116]

C.M.: <<Ameryka przywróciła mi smak obserwacji zjawisk tego świata. Moją ambicją od dawna była pewna międzynarodowość umysłu, która zresztą chroniła mnie w czasie wojny. Co pocznie jednak to nieszczęsne młode pokolenie wychowane w tradycji AK plus ta nowa porcja narodowego bełkotu? Uczyłbym ich o zwierzętach, o kwiatach, o gospodarce światowej, o Grecji, o Rzymie, o astronomii, o Tintoretto i o tysiącu rzeczy, tylko nie o Polsce jako pępku świata, bo z tego tylko uraz, męka i krew>>.[„Zaraz po wojnie”, (...), s.451-452]

16. W.Ł.: <<W liście do M. Wańkowicza serio o sobie i kpiąco o Polakach tłumaczył: „Jestem bardzo mało polski w sensie, jaki temu słowu zwykło się nadawać; standardy obowiązujące wśród szlacheckich Polaków są mi najzupelniej obce. Mój umysł jest żydowski”. Dlatego wiązał się zawsze z Żydami przeciw Polakom, czując silną duchową więź: „Gdzieś na dnie tliła się myśl, że ich i moja lewicowość jest przebraniem dla naszej inności” („Rodzina Europa”)>>. [„Rzeczpospolita kłamaców. Salon”, (...), s. 116]

C.M.: <<Ruchy aktorów, oglądane przez szybę, która nie przepuszcza dźwięku, robią wrażenie śmieszne i bezsensowne. Do wewnętrznego kręgu, gdzie grało się misterium rasowe i narodowe, miałem dostęp zamknięty. Nie jest wykluczone, że ów sezam nie mógł się dla mnie otworzyć, bo wrażliwość na takie, a nie inne barwy i kształty, na to, co stanowi o pokładach najgłębszych, ukształtowała się, dzięki matce, na wsi etnicznie litewskiej. Ta pozycja zewnętrzna pozwalała mi wnikać w literatów żydowskiego pochodzenia, bo oni też stali przed zamkniętą bramą. Mieliśmy wspólną ojczyznę: język polski. Ale oni wysilali się, żeby bramę sforsować, żeby nadać swoim dziełom wygląd ultrasłowiański, prawie nikt z nich nie obnażał swego rozdwojenia, nosili sztywne maski i te maski ich gniołły. Pociągali mnie w tym za sobą, zmuszałem się do mimikry, ale czego chciałbym naprawdę, to żeby przeciwstawili się i mnie inaczej pozwolili się przeciwstawić. W imię czego? Nie wiedziałem. **Gdzieś na dnie tliła się myśl, że i ich, i moja lewicowość jest przebraniem dla naszej inności.** Jak oni getto, tak ja Wielkie Księstwo Litewskie spychałem pomiędzy zakurzone pamiątki, choć bardziej niż oni dumny choćby z mego ucha – ucho rdzennie polskie było według mnie nieczułe na złożone, podstępnie przykryte prostotą rytmy i tylko u nas mógł wynaleźć swoje środki tak wielki poeta jak Mickiewicz>>.[„Rodzina Europa”, (...), s. 117-118]

17. W.Ł.: <<Czegóż jednak można oczekiwać od katolików? Ich religię Miłosz przezwiał „narodową uludą” („Traktat teologiczny”) i „glebę dla snów paranoicznych” („Prywatne obowiązki”)>>.[„Rzeczpospolita kłamaców. Salon”, (...), s. 117]

C.M.: <<Wrogość oświeconego Zachodu do Polski nie daje się sprowadzić do sekretnych postanowień i spisków. Wystarczyły instytucje zupełnie niezrozumiałe – republikańskie, idące w parze z arogancją szlachty i wyjątkową nędzą chłopów, co razem wyglądało na parodię. *Les philosophes* byli sprzedajni i dosyć byłoby samego złota, żeby podnieśli wrzask o prześladowanie dysydentów w Polsce, choć obiektywnie niemal brakło po temu podstaw. Ale oni unieśli się gniewem, bo w Polsce natrafili na katolicyzm najłatwiejszy do ugodzenia, najbardziej w Europie obskurancki.

„Narodowy katolicyzm” (a ta wersja historii w nim się mieści) nie spełnia może dzisiaj funkcji obronnej, raczej obezwładnia: żyzna **gleba dla snów paranoicznych**, które każdy wielkorządca może hodować, zaszczepiać, przystrzygać do woli>>.[„Prywatne obowiązki”,(...), s.166]

18. W.Ł.: <<Jemu cuchnęła wiara katolicka, dlatego zaperzył się solennie: „*Z polskim katolicyzmem nie chcę mieć nic wspólnego*” („Ziemia Ulro”). „*Przyrzekłem sobie, że nie zawrę nigdy przymierza z polskim katolicyzmem (...), czyli że nie poddam się małpom*” („Rodzinna Europa”)>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 117]

C.M.: <<Zdrowa jest chyba taka kultura, która pozwala doprowadzać do skutku poważne, pierwszego rzędu, przedsięwzięcia w zakresie literatury, sztuki, filozofii, przy zachowaniu serdecznej więzi. A jednak nie potrafiłem ugiąć kolan przed boginią, której na imię polskość, choć doskonale rozumiałem, jak doszło do jej osobliwego nabożeństwa. Za dużo upokorzeń spadających jedno po drugim na *etos* raczej dumny i w sobie zakochany, ale też dziwnie bezbronny, aż cokolwiek pozwalało odzyskać we własnych oczach odrobinę godności, chwytało skwapliwie i ostatecznym kryterium, choć często nie ogłaszanym, dzieł umysłu i ręki stał się względnie praktyczny, „dla dobra” tego, co polskie. Także religia została temu kryterium poddana i nie tak bardzo mylił się ten amerykański profesor, od którego niedawno usłyszałem, że Polska jest krajem ludzi niewierzących, ale praktykujących, w imię miłości do narodowej tradycji. Dla mnie natomiast nawet Mickiewicz był zawsze kim innym niż przede wszystkim narodowym bardem.

Ale wiele wody upłynęło w europejskich i amerykańskich rzekach od tamtego czasu, kiedy dumnie oświadczałem, że **z polskim katolicyzmem nie chcę mieć nic wspólnego**, i ponieważ wiele przeżyłem, pycha moja została nadkruszona. Tylko porównawczo przekonujemy się, że „nie ma dna gorszemu”, jak powiada w jednym ze swoich wierszy Aleksander Wat. Struktury społeczne, które w jakiejś mierze chronią człowieka od popadania w skrajne zło, zasługują na szacunek>>.[„Ziemia Ulro”, Kraków 1994, s. 261]

<<Stale zanurzony w wielkiej całości, byłem, jak to się mówi, naturą do głębi religijną. Kościół katolicki imponował swoją olbrzymią budowlą, zwracał się do mnie, nie żądając niczego więcej niż poddania się dyscyplinie, z zawieszeniem sądu. Pomimo wszystko, jako pilny czytelnik historii Kościoła, godziłem się z potrzebą dyscypliny, bo sam żadnej nie umiałbym wynaleźć. Czy była to rezygnacja? Nie traciłem nadziei, że tę łamigłówkę uda mi się rozebrać i na nowo ułożyć. Chomik[książka Leopold Chomski] zmniejszył się, nie zajmował już pierwszego planu. Nędzny, ale instytucja również przecie ludzka, rojowisko pokoleń, czyż mogłaby uniknąć oparcia się na takich jak on? W ostatnim roku przed maturą ustaliła się pomiędzy nami mało serdeczna grzeczność. Zorientował się zapewne, że siłą mnie nie przełamie. Kiedy przestał mnie naciskać, poszedłem do spowiedzi. Akt pokory wobec Bytu winien był być ściśle dobrowolny i osobisty, poza społecznym obyczajem. **Przyrzekłem**

sobie, że nie zawrę nigdy przymierza z polskim katolicyzmem – niekoniecznie używając tego terminu – czyli że nie poddam się małpom>>. [„Rodzinna Europa”, (...), s. 102-103]

<<Chomik, kurcząc się ze wstępu na dźwięk mutujących głosów i dostrzegając grzech w dymie tytoniu, miał, przyznajmy to, sporo racji. Niewinność kończy się, kiedy pojawia się ja, czyli stara pycha upadku: „Będziecie jako bogowie znający złe i dobre”. Nigdzie nie uwydatniła się ona u mnie wyraźniej niż w niedzielne ranki. Różne okoliczności złożyły się na to, że jako uczniowie wyższych klas zamiast do kaplicy szkolnej chodziliśmy w niektórych miesiącach na msze do kościoła św. Jerzego. Był to kościół uczęszczany przez tzw. dobre towarzystwo. Po wyjściu z niego odbywała się defilada na deptaku. Oficerowie salutowali, mecenasowie i doktorzy rozdzielali ukłony, kobiety pokazywały swoje uśmiechy, futra i kapelusze. Posuwając się w tym tłumie albo stojąc na skwerku, byłem naładowany nienawiścią aż do pęknięcia. Człowiek, moim zdaniem, znaczył coś tylko przez swoją namiętność – do przyrody, myślistwa czy literatury, byle wkładał w to całego siebie. Ale to były małpy. Jakiż jest ich sens? Po co istnieją? Wzbijałem się na jakąś boską wysokość i trwałem nad nimi jak nad preparatem. Rodzą się, sekunda, umierają i żadnego śladu. Spójrz no na ich mizdrzenie się, intryżki, wzajemne względy, zabiegi o pieniądź i pokazanie się. Nic poza tym w nich nie ma. Owijałem się w samego siebie, powołanego, jak sądziłem, do wielkich zadań. Czyli traktowałem ich jako rzeczy>>.

[„Rodzinna Europa”, (...), s. 93-94]

19. W.Ł.: <<Przed Miłozsem Polska miała tylko jedno złote pióro — łatwo zgadnąć, to Gombrowicz! „Późno, chyba dopiero przy końcu lat pięćdziesiątych, zrozumiałem, że mimo wszelkich różnic łączy nas ta sama obsesja” („Zaczynając od moich ulic”) — chodziło o obsesję antypolskości; polskość drażniła jednego i drugiego>>.[„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 118]

C.M.: <<Późno, chyba dopiero przy końcu lat pięćdziesiątych, zrozumiałem, że mimo wszelkich różnic łączy nas ta sama obsesja. Podejrzewam, że „Ferdydurke” była przed wojną dla mnie i moich przyjaciół tym mniej więcej, czym są dzisiaj dla czytelników w Polsce utwory Gombrowicza, tj. dobrym pisarstwem ironisty. W przedmowie do „Ślubu” w języku angielskim Jan Kott przypomina epizod z jakiejś uczyty po godzinie policyjnej, podczas niemieckiej okupacji, kiedy nad ranem zobaczył Jerzego Andrzejewskiego i mnie klęczących naprzeciwko siebie i toczących ze sobą pojedynek na miny, według wszelkich reguł pojedynku Miętusa z Syfonem. Ale od tego daleka jeszcze była droga do uświadomienia sobie, co to znaczy, jeżeli pojedynek na miny jest jedyną naszą ludzką rzeczywistością, jaką możemy przeciwstawić nie-sensowi bytu – nie mówię: bezsensowi ani absurdowi, właśnie nie-sensowi. To zawieszenie w pustce rządzącej się jakimiś prawami dla nas nie do przyjęcia, przede wszystkim prawem śmierci, to wczepianie się ludzi w ludzi, bo tak tylko są zdolni stworzyć swoją wypełnioną sensami szklaną kulę i mieszkać w jej wnętrzu, w „między-ludzkim kościele” – nic bardziej przeciwnego jakimkolwiek skłonnościom do braterstwa z Naturą. Gombrowicz jest tak anty-naturalistyczny, jak to tylko możliwe. W tzw. obiektywnym świecie złożonym z kamieni, drzew, gwiazd, zwierząt pozbawionych świadomości nie ma dla nas żadnego ratunku i żadnej nadziei. Jedynym ratunkiem jest inny człowiek spotkany w jego niepojętej subiektywnej tonacji, królestwo nasze utrzymuje się jak napięty łuk świetlny pomiędzy ludzkim biegunem i biegunem. Słaby to ratunek, bo coraz to jeden z biegunów jest niszczone przez tamto, inne, wrogie, jak teraz został zniszczony Gombrowicz, bo zatrzymało mu się serce>>.

[„Zaczynając od moich ulic”, Wrocław 1990, s. 334-335]

20. W.Ł. :<<Miłosza drażnił nawet Chopin: „Chopin drażni” pisał („Inne Abecadło”)>>. [„Rzeczpospolita kłamaców. Salon”, (...), s. 118]

C.M.: <<Cóż więc począć? I jak „uświetniać”? Polska muzyka ludowa jest dla mnie uboga, krakowiaki i oberki śmieszają, **Chopin drażni**, bo wyciągany przy każdej okazji, ale również dlatego, że sam gustuję w muzyce klasycznej. To dosyć, żeby nie brać udziału w przeróżnych obchodach. A przecież byłem wiernym sługą polskiego języka, i tego, co ze sobą niesie w przyszłość. I oto narzucona, nie mnie pierwszemu, rola: jak nie można z nimi, to przynajmniej dla nich. Przykre, ale ostatecznie i Piłsudski tak to określał. Myślę z szacunkiem o tych, którzy wybrali działalność w obrębie polskiej diaspory, ale nie moje to było miejsce. Raczej starać się dowieść, że można pozostać sobą, nie podlizywać się Zachodowi, a jednak wygrywać na swoich warunkach. Skazany na trafianie do publiczności poprzez przekłady na angielski, miałem poczucie obowiązków wobec „kultury polskiej”, ale nie kalekiej, podzielonej na wyrafinowanie i prostactwo>>. [„Inne abecadło”, Kraków 1998, s. 110-111]

21. Wyłącznie Gombrowicza głaskał: „«Trans-Atlantyk» (...) zawiera podstawową rozprawę z Polską-zmorą i z polskim ceremoniałem nacjonalistycznego karlenia”. „W miarę sił szerzyłem kult Gombrowicza” („Ziemia Ulro”)>>. [„Rzeczpospolita kłamaców. Salon”, (...), s. 118]

C.M.: <<Najwybitniejsza powieść o tragikomedii polskiego zawężenia została napisana nie w Polsce, ale na emigracji. Jest nią „Trans-Atlantyk”. Bo nie Żeromski, nie Dąbrowska, nie Witkacy to umieli. Witkacy jest zadziwiający, ale zadziwiający jako zjawisko, jako eksperymentujący ze sobą i innymi Stawrogin (jak nazwał go Wat), i słusznie Gombrowicz podejrzewał, że nie dostawało mu pasji rasowego pisarza. „Trans-Atlantyk” nie był przez nikogo analizowany tak, jak być powinien. **Zawiera on podstawową rozprawę z Polską-zmorą i z polskim ceremoniałem nacjonalistycznego karlenia.** Cała zresztą twórczość Gombrowicza zdaje się być dowodem, że istnieją stałe powołania poszczególnych literatur i że powołaniem polskiej jest, niestety, emigracja. Tamta emigracja otrzymała nazwę Wielkiej. Ale przecie politycznie była mała i śmieszna. To parę nazwisk przesłoniło jej śmieszność i małość. A żeby potwierdziła się raz jeszcze prawidłowość przebiegu, Gombrowicz dla emigracyjnych czytelników, z nielicznymi wyjątkami, był pyszałkiem, megalomanem czy wariatem. Jakie takie szczylenie się rodzimym geniuszem zaczęło się dopiero, kiedy zyskał rozgłos u obcych>>.[„Zaczynając od moich ulic”, (...), s. 336]

C.M.: <<**W miarę sił szerzyłem kult Gombrowicza**, poświęcając niejedną godzinę wykładów jego dziełu, z dobrym na ogół wynikiem, bo wśród młodych Amerykanów znajdował entuzjastów, choć dopiero kiedy im wytłumaczono, jaka tutaj myśl działa. Zważywszy na trudy takiego komentarza, który odsłaniał warstwy dla cudzoziemców słabo widoczne, zacząłem odnosić się sceptycznie do Gombrowicza jako międzynarodowego autora, nie dlatego jednak, że był zbyt polski i za mało „ogólnoludzki”. Przez swoje zmagania z polską tradycją i polskim obyczajem w sobie, historycznie zakorzeniony, w bufonadzie

swojej cienki, językowo wytworny i powściągliwy, nie był za niski na międzynarodowe wymagania, ale, w tej przynajmniej linii odbioru, na jaką mógł liczyć, za wysoki – i jego program – żeby do Zachodu odnosić się władczo, czerpiąc siłę z polskiej niższości-młodszości, sprawdzał się, choć aż z nadmiarem. Rozpiętość właściwa całej polskiej kulturze, pomiędzy tym, co wyrafinowane, i tym, co drugorzędne, sięgała, dzięki książkom Gombrowicza na półkach amerykańskiej księgarni, w tym samym kraju, gdzie wychodziły gazety dla Polonii, jakichś dziwacznych rozmiarów>>.[„Ziemia Ulro”, (...), s. 38-39]

22. W.Ł.: <<Rzecz charakterystyczna: chociaż Miłosz cenił też S. Brzozowskiego, za to, że ów protestował „przeciwko swemu rodzinnemu środowisku, tj. przeciwko Polsce rozczulającego obyczaju, katolickiego kościółka, kultu narodowego męczeństwa”, tudzież za to, że bohater powieści Brzozowskiego „uzyskuje wewnętrzną wolność przez podeptanie narodowego zakazu”, wreszcie za całą Brzozowskiego próbę „wyzwolenia się od Polski” („Człowiek wśród skorpionów”) — nie starał się szerzyć kultu Brzozowskiego, gdyż ten nie szerzył kosmopolityzmu, tylko, niestety, pragnął ulepszać „zmorę” („Miałem pretensję do Brzozowskiego o to, że pragnął być wychowawcą narodu”)>>. [„Rzeczpospolita kłamców. Salon”, (...), s. 118-119]

C.M.: <<Emancypacja umysłowa równała się dla Brzozowskiego, ucznia gimnazjum w Niemirowie, protestowi **przeciwko swemu rodzinnemu środowisku, tj. przeciwko Polsce rozczulającego obyczaju, katolickiego kościółka, kultu narodowego męczeństwa, rytualnego obżarstwa w święta i programowego antyintelektualizmu**. Być człowiekiem czy być Polakiem, w którym człowiek, przez samą przynależność do narodowej grupy i poddanie się jej nakazom, jest umniejszony? Widocznie to pytanie Brzozowski przeżył ostro, jeżeli w dwóch jego powieściach bohater **uzyskuje wewnętrzną wolność tylko przez deptanie narodowego zakazu**. W *Płomieniach* Michał Kaniowski zrywa ze swoim wielkoszlacheckim domem i ściąga hańbę na swoją rodzinę, zostając nihilistą, rewolucjonistą rosyjskim: wstępuje do grupy Nieczajewa i następnie jako narodowiec bierze udział w przygotowaniach do zamachu na cara Aleksandra II. W czasie swego pobytu na Syberii spotyka polskich zesłańców 1863 roku i ci nie mogą mu wybaczyć, że w swojej działalności rewolucyjnej idzie z Rosjanami: dla nich Rosja to dzicz przeżarta przez łapownictwo i syfilis, kolos na glinianych nogach>>. [„Człowiek wśród skorpionów”, Kraków 2000, s.19]

<<W starciach grup ludzkich potrzebne są każdej z nich jasne i oczywiste racje; ktokolwiek, jak Brzozowski, przede wszystkim bada, skąd te racje się biorą, osłabia zwartość grupy, czyli nie ma żadnych danych na żołnierza. A bywają układy warunków, kiedy zalety żołnierskie są najbardziej potrzebne, i bez nich nie ma moralności. Takie jest błędne koło, właściwe grupom broniącym się, mniejszościowym, jak wykazuje przykład chociażby Żydów, Murzynów, Algierczyków. Jednostka nie chce ponosić piętna nałożonego jej przez urodzenie, chce być człowiekiem, takim samym jak ci, co piętna nie dostali, ale ma do wyboru albo odstępstwo (wtedy pojawia się typ Żyda-antysemity, Murzyna, który „uchodził” za białego, Algierczyka bardziej francuskiego niż sami Francuzi itd.), albo solidarność z najbardziej przez siebie znieawidzonymi składnikami i cechami własnej grupy. W tym sensie można interpretować *Płomienie* jako próbę pojedynku z własną obsesją, obsesją **wyzwolenia się od Polski**. Sam zresztą przyznaje, że był to dla niego etap potrzebny do zdobycia samowiedzy: „W

Płomieniach, i potwierdzi to każdy, kto chce tę książkę przeczytać bez uprzedzeń, usiłowałem przedstawić, że brak twórczej świadomości narodowej prowadzi do odrywania się jednostek samoistniejszych od narodowej wspólności, do widzenia życia w abstrakcyjnych, uproszczających dogmatach, do niemożności odnalezienia związku z narodem bez zrzeczenia się własnej swobody. Przedstawiłem dzieje Kaniowskiego nie jako błąd, lecz jako cenny, dodatni w danych stosunkach proces myślowy: znaczenie tego procesu wyjaśniało mi się samemu w ciągu pisania”>>. [„Człowiek wśród skorpionów”, (...), s. 24-25]

C.M.: <<Dlaczego w 1943 roku, w szkicu o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, przyznając, że dwie są osobistości w polskiej nowszej literaturze, do których trzeba ciągle powracać: Brzozowski i Witkiewicz, napisałem, że Brzozowski jest „odrażający”? Nieuczciwość zwykle pochodzi z podszeptów ambicji. Podziemne pisemka prawicowe doprowadzały mnie do furii, a w nich bez ustanku: Brzozowski, Brzozowski. Spreparowany, przesłonił mi prawdziwego. Chciałem się odgrodzić, poniżało mnie przyłączanie się do ich chóru. Śmieszne. Powinienem był tak samo kopnąć Norwida, bo i tego konia dosiadali przy każdej okazji. **Miałem pretensje do Brzozowskiego o to, że pragnął być wychowawcą narodu.** Czy mógł inaczej, sam wychowany na polskich romantykach – i na Bielińskim? Czy to takie znowu głupie, że pisarz, świadomie albo nieświadomie, jest wychowawcą? Pomyłkę po wielu, wielu latach naprawiam tym studium. Ale nie była to tylko moja pomyłka. Przyznanie się do niej może zachęci innych do uderzenia się w piersi (własne, nie cudze)>>.[„Człowiek wśród skorpionów”, (...), s.71]